Cena dla Czechosłowacji Kč. 1·20. Nal. poczt. opłacona gotówką.

Cena numeru 30 gr.

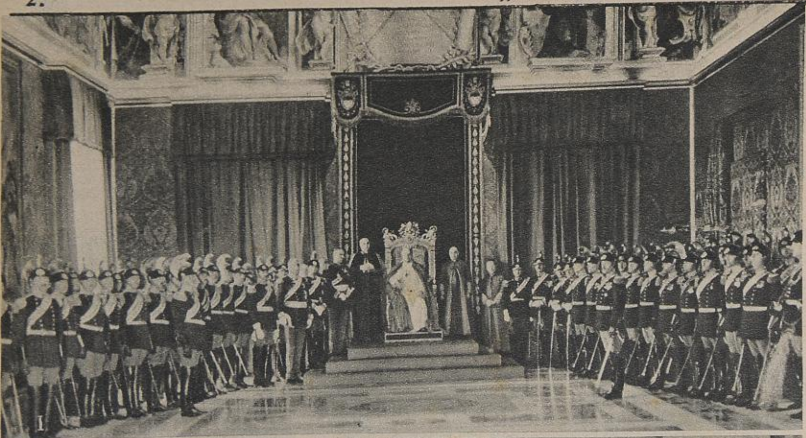
Na Szerokim Świecie

NIEDZIELA 13 STYCZNIA 1935. ROK VIII. Nr. 2. (331).



E. AGNEESSENS: FLAMANDKA

wystawa „100 lat sztuki belgijskiej" w Krakowie (z Muzeum Królewskiego w Brukseli)





TYDZIEŃ ZDARZEŃ

I. **NOWOROCZNE PRZYJĘCIE W WATYKANIE** odbyło się tego roku, jak i corocznie, nawet może w większych rozmiarach i bardziej uroczyście. Na zdjęciu widać w głębi papieża Piusa XI na tronie, po obu stronach szeregi gwardji szwajcarskiej papieskiej w nowych uniformach.

II. **NOWY ROK NA ZAMKU W WARSZAWIE.** Kancelarja cywilna i wojskowa Prezydenta Rzeczypospolitej po złożeniu życzeń: obok P. Prezydenta stoją: płk. Głogowski, dyr. kancelarji cywilnej Świeżawski, szef protokołu dyplomatycznego hr. Romer.

III. **POWIETRZNY GONIEC Z BELGJI DO POLSKI.** Historyjka, którą poniżej opowiemy, nie dotyczy tak ważnego faktu, jak wizyty dyplomatyczne, spotkania polityczne i wielkie zdarzenia światowe, lecz jest dość interesująca, tembardziej, że zdarzyła się u nas. Mianowicie jeden z naszych Czytelników, p. Zygmunt Maciejewski z Grąblina w województwie łódzkiem, nadesłał nam list, z którego wynika, że jeszcze 29 października ub. roku, popołudniu, na łące wsi Solanki, w rodzinnej okolicy, powiatu konińskiego, znalazł rozerwany żółty balonik z napisem: „A l'innoration" (?), do którego przywiązana była kartka „A retourner á Mlle Annie Fouvez, 41 Rue du Grand Central J Charleroi". Zalecenie na kartce wyrażone wykonał — wysłał pod wskazanym adresem pocztówkę, na której także zapytał: kiedy wypuszczono powietrznego emigranta. Dopiero na wigilję otrzymał odpowiedz, z której wynika po pierwsze, że panna Fouvez nie odpowiadała mu tak długo, ponieważ miała trudności z przełożeniem kartki, napisanej po polsku, na język francuski (uczcie się obcych języków!). Następnie oświadcza, że balonik wypuszczono jeszcze 30 września, a więc 30 dni błąkał się w przestworzach nad Belgją, Niemcami i Polską, zanim opadł koło Konina; wypuszczono go zaś z okazji uroczystości wallońskiej (Wallonowie — francusko-romańscy mieszkańcy Belgji). Wreszcie adresatka dziękuje p. Maciejewskiemu za danie jej wiadomości o baloniku, a przedewszystkiem za okazję, daną młodej Belgijce — porozumienia się z przyjaciółmi w Polsce (wiedziała, że będzie o tem w naszych pismach). — Dla uczczenia tej ciekawostki, dajemy fotografję pana M. oraz części adresowanej do niego przez młodą Belgijkę pocztówki — co wszystko razem ilustruje jeszcze jedną nić sympatji, nawiązanej „balonikową" drogą między Belgją a Polską.

IV. **„PLEBISCYTARJUSZE" Z ZA OCEANU.** W miarę zbliżania się terminu plebiscytu w Zagłębiu Saary (o czem obszerniej piszemy na innem miejscu) mnożą się oznaki agitacji plebiscytowej. Należy do nich także przywiezienie przez Niemców 358 osób (oczywiście także Niemców) ze Stanów Zjednoczonych, specjalnie na to, aby oddały swe głosy za przyłączeniem Saary do Niemiec w dniu 13 bm. Donosiliśmy już o tem w jednym z poprzednich numerów, pisząc, że zamiarem Niemców, którzy nie szczędzą na to pieniędzy, było przywiezienie z Ameryki całego tysiąca saarskich Niemców na głosowanie plebiscytowe. (Zafrachtowano no to wielki transoceaniczny parowiec „Deutschland", co kosztowało 100 tysięcy marek). Widocznie jednak całego tysiąca saarskich Niemców w Stanach Zjednoczonych zebrać się nie udało, przywieziono więc tyle, ile się zebrało. Nasza fotografja przedstawia tych „plebiscytarjuszy" z za oceanu, przybyłych do niemieckiego portu Hamburga, lądujących z całą paradą, z gwiaździstemi sztandarami amerykańskiemi, z niemieckiemi sztandarami ze swastyką, z transparentem „Saara pozostaje niemiecką" i. t. d.

V. **„S. A. MORITURI TE SALUTANT...".** Z kilku już artykułów Czytelnicy nasi wiedzą, jak stopniowo w hitlerowskich Niemczech likwiduje się właściwy hitleryzm — to jest jak rozpuszczona została w dniu 30 czerwca najpierw olbrzymia większość „brunatnych koszul", czyli szturmowych oddziałów S. A., rozbrojonych zapomocą czarnych mundurów S. S., które teraz z kolei rozwiązuje i rozbraja Reichswehra, i t. d.

Jest to bardzo prosty proces: starzy, przedwojenni właściwi władcy Niemiec, tak zwani junkrzy, czyli pruscy arystokraci oraz wielcy przemysłowcy i finansiści, którzy kilka lat temu dali środki finansowe na rozwinięcie agitacji hitlerowskiej, bynajmniej nie chcieli, aby zwerbowane masy hitlerowców, zorganizowane po wojskowemu (było tych „brunatnych koszul" najmniej 800.000) rządzili państwem i przeprowadzali swoje reformy.

To też teraz, gdy władza kanclerza Hitlera już się ugruntowała, pozbywają się oni systematycznie tych zwolenników „wodza", pragnąc, aby oni tylko przy nim reprezentowali rząd i władzę: na czele Reichswehry stoją dawni generałowie, jeszcze przedwojenni, reprezentujący arystokrację pruską, Reichswehra też jest wojskiem zorganizowanem na przedwojenną modłę, żadnych dodatków do tego nie potrzeba.

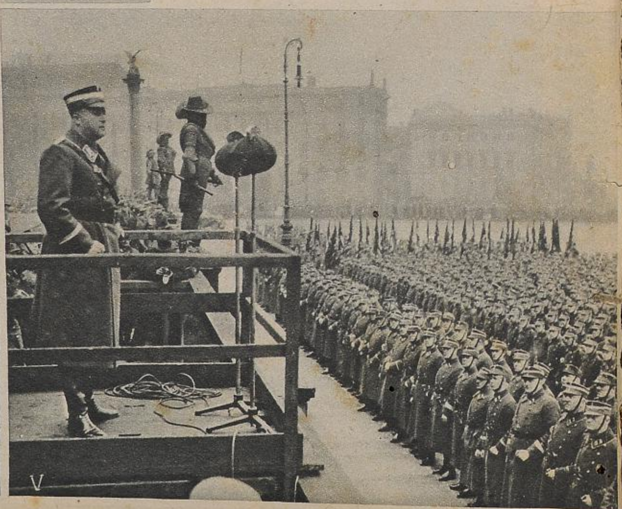
Kilka dni temu zaledwie dowódca Reichswehry, gen. Blomberg, oświadczył, że „znane wypadki w dniu 30 czerwca ub. roku, kiedy to kilkuset szturmowców zginęło, kilka tysięcy zostało uwięzionych, a prawie cała reszta rozpuszczona do domów, były właśnie skutkiem tego, że brunatne koszule S. A. „przygotowywały zamach" przeciwko Reichswehrze".

Kto tam przeciwko komu przygotowywał zamach, niewiadomo — dość, że zwyciężyli ci, którzy byli silniejsi, czy też zawczasu przygotowani i powiadomieni — mianowicie Reichswehra.









W ubiegłym tygodniu nastąpiła, jak wiadomo, druga część tego dramatu: zkolei „czarne mundury“ S. S., które też mogłyby „przygotowywać zamach“ przeciwko Reichswehrze albo przynajmniej uszczuplać jej władzę, ponieważ mieli broń, też „poszły na grzybki“: większą część ich rozwiązano i rozbrojono, nieznaczna reszta, zaopatrzona tylko w rewolwery, nie będzie już groźna (przy tem rozbrajaniu podobno nawet polała się krew, mianowicie w Magdeburgu).

Tymczasem jednak stanowią oni rodzaj tajnej policji, co tak niepokoi Reichswehrę, że świeżo zaproponowano nowe gruntowne „przeczyszczenie“ szeregów zarówno „brunatnych koszul“, jak „czarnych mundurów“, w którym to celu przywódcy Reichswehry mieli podobno przedłożyć listę 20 t y s i ę c y hitlerowców, przeznaczonych do „wyczyszczenia“. Były z tego powodu wielkie, choć tajemnicze alarmy, było znamienne zebranie, na którem kanclerz Hitler przygotowywał w swej mowie słuchaczy na to, że „będą potrzebne nowe ofiary“ dla dobra Niemców. Narazie jednak wszystko zostało w zawieszeniu, prawdopodobnie dlatego, że przed „wielkim dniem plebiscytu“ w Saarze 13 stycznia, nie wypada, aby zachodziły jakieś wewnętrzne wielkie wypadki, a tembardziej starcia i konflikty. — Jakichś więc wypadków można się obawiać w Niemczech dopiero po 13 stycznia...

Narazie wszystko jest gładko i cicho. Nawet w dniu Nowego Roku odbyła się wielka parada, czyli tak zwany a p e l „brunatnych S. A.“ (bez broni) na wielkim placu berlińskim, tak zwanym Lustgarten (między Katedrą, Sprewą i muzeami), na której „Obergruppenführer“ von Jagow przemawiał do zebranych „brunatnych koszul“ (ten właśnie moment przedstawia nasza fotografja). Jeżeli i ci „szturmowcy“ przeznaczeni są, tak, jak poprzednio większość ich towarzyszy, do rzucenia na pożarcie Reichswehrze, to możnaby na tę paradę powiedzieć na rzymską modłę: „S. A. morituri te salutant... — mający umrzeć szturmowcy pozdrawiają cię...“.

A WIĘC KRYZYS SIĘ KOŃCZY I BĘDZIE POKÓJ! W orędziu radjowem do narodu angielskiego premier Mac Donald oświadczył, iż nowy rok zapowiada się gospodarczo nader pomyślnie. Premier przewiduje poprawę w handlu, zwyżkę płac oraz wzrost zatrudnienia. Rokowania, jakie prowadzą Włochy i Francja, przyczynią się w dużej mierze do uspokojenia Europy, która zdaniem angielskiego premiera wejdzie w okres długotrwałego pokoju. Wzmoże to wzajemne zaufanie, co będzie jednym z czynników poprawy gospodarczej.

W AUSTRJI ZNOWU GORĄCO. Agitacja hitlerowska w Austrji znowu odżyła. Wśród najnowszych wypadków teroru hitlerowskiego w Austrji zanotować należy przedewszystkiem bestjalski napad na szofera w Grazu. Mianowicie trzej wychowankowie austrjackiego zakładu nauczycielskiego budowy maszyn wsiedli w Grazu do taksówki, a kiedy wyjechali za miasto jeden z hitlerowców żelazną sztabą zranił szofera. Sprawców schwytano. Jak się okazało, są to hitlerowcy, którzy usiłowali zbiec samochodem do Niemiec. Pod Wiedniem ostrzeliwano samochód wiozący członków Heimwehry. Tak więc należy się liczyć ze wzmożeniem akcji terorystycznej w Austrji.

NOWI „MISTRZOWIE ŚWIATA“ W SZACHACH. W niedzielę zakończył się w Hastings w Anglji wielki międzynar. turniej szachowy, którego wynik niewątpliwie zaciekawi naszych miłośników szachów. Brał bowiem w turnieju udział były mistrz świata Capablanca i inni najwięksi szachiści; nie było tylko Aljechina, który bawi w Australji, wskutek czego uczestnikom turnieju „upiekła się“ niezła sytuacja. Sensacją jest to, że Capablanca zdobył dopiero piąte miejsce, czwarte zaś zajął 23-letni zaledwie szachista rosyjski Botwinnik, sowiecki mistrz szachowy. Pierwszego miejsca wogóle nie było, ponieważ trzej szachiści, dr. Euwe (Holender) dalej młody a także już znany szachista Flohr z Pragi czeskiej oraz champion szachistów angielskich Thomas zdobyli po jednakowej ilości (6 i pół punktów) i podzielili się trzema pierwszemi nagrodami.

„WIECZNA MIŁOŚĆ, WIECZNA ZGODA“... panuje od niedzieli pomiędzy Paryżem i Rzymem, Francją a Włochami. Minister Laval pojechał z wizytą do Rzymu, przyjęto go tam z niesłychaną serdecznością. Sam Duce Mussolini i wszystkie czynniki urzędowe prześcigały się w uprzejmości. W rezultacie zawarto obszerną umowę, na mocy której: Włochy przystępują do traktatu gwarantującego niepodległość Austrji; Francja pozwala im rozszerzać swoje posiadłości w Afryce na południe od Trypolitanji koło jeziora Czad i Erytrei (na koszt Abisynji) oraz pozwala korzystać z francuskiej kolei z portu Dżibuti do stolicy Abisynji Addis-Abbeba, wreszcie Francja pożycza Włochom 1 miljardy franków.

W SAARZE DALEJ NAPIĘCIE. W niedzielę ubiegłą odbyły się w Saarbrücken dwa wielkie zgromadzenia plebiscytowe: jedno „Deutsche Front“ 120.000 uczestników, drugie antihitlerowców 60.000 uczestników. Do starć nie dopuściły wojska koalicyjne. Przemówienia były bardzo gwałtowne, złożono uroczyste przysięgi: jedną za, drugą przeciw Hitlerowi. Zagadką pozostaje dalej stanowisko katolików saarskich: ich organ „Deutsche Saarpost“ wystąpił gwałtownie przeciw Hitlerowi i przyłączeniu do Niemiec; natomiast księża z polecenia biskupów niemieckich w Trewirze i Spirze polecili odprawienie modłów za przyłączeniem Saary do Niemiec. Przeciw temu zkolei zaprotestowała komisja plebiscytowa w piśmie do biskupów niemieckich. — Niedziela 13-go będzie dość ciekawym dniem dla Europy.

ZDERZENIE SIĘ DWÓCH POCIĄGÓW W ROSJI. Między Moskwą a Petersburgiem zderzyły się dwa pociągi. Jest bardzo wielu zabitych.



VI. NARODZINY WYSPY. Widok to rzadki, a jednak bywa — wyspy wulkanicznego pochodzenia niewielkich rozmiarów wynurzają się jeszcze i za naszych czasów z głębi wód morza lub oceanu. Takiego właśnie imponującego i interesującego widowiska świadkiem byli pasażerowie amerykańskiego okrętu „Gold Star“ (złota gwiazda), płynącego po japońskich wodach z miasta portowego japońskiego Nagasaki do japońskiego również portu Kobe na innej wyspie. W podróży tej okręt amerykański musiał zboczyć ze swej prostej drogi, biorąc kurs na południe, ponieważ na jego szlaku odbywały się właśnie wielkie manewry japońskiej floty wojennej. Dzięki tej właśnie okoliczności, załoga i pasażerowie amerykańskiego okrętu płynąc wodami nieuczęszczanemi zwykle przez okręty, zobaczyła narodziny nowej wyspy. Mijano właśnie małą wysepkę Iwo, gdy najpierw marynarz na tak zwanem „bocianiem gnieździe zauważył wielkie kłęby jakby dymu i gęstej pary na horyzoncie. Gdy okręt podpłynął bliżej, usłyszano straszliwy huk jakby setek piorunów, a następnie wynurzyła się nagle na powierzchnię morza skalista masa — poprostu „gotowa“ już, urodzona nagle wyspa... Oczywiście nieomieszkano jej sfotografować — fotografja ta szła drogą okrężną dość długo, ale wreszcie przyszła i dzięki temu mamy przed sobą wizerunek nowo narodzonej wyspy na oceanie Spokojnym.

VII. SPRAWA ŚMIERCI MAŁEGO LINDBERGHA PRZED SĄDEM. Wlokąca się bez końca sprawa porwania i śmierci małego dziecka państwa Lindbergh, głośna w całej meryce i na całym zresztą świecie, dzięki rozgłosowi Lindbergha lotnika, dochodzi wreszcie do epilogu. Jak wiadomo, po półtorarocznych poszukiwaniach zupełnie daremnych, kiedy prawie stracono już nadzieję, policji amerykańskiej udało się aresztować, jako podejrzanego o porwanie i morderstwo, 34-letniego cieślę Brunona Hauptmanna, imigranta z Niemiec, dzięki temu, że zmieniał on banknoty dolarowe, pochodzące z okupu, złożonego w imieniu Lindbergha za dziecko.

Jednakże pomiędzy aresztowaniem jako podejrzanego a dowiedzeniem winy, jest różnica. Długotrwałe śledztwo przeciwko Hauptmannowi nagromadziło mnóstwo poszlak i dowodów pośrednich, żadnego jednak dowodu bezpośredniego winy Hauptmanna. W każdym razie skonstruowano akt oskarżenia, na mocy którego dnia 2 bm. rozpoczął się w miejscowości Flemington przed sądem przysięgłych proces o porwanie i zamordowanie synka państwa Lindberghów w marcu roku 1932. Na proces zwoływały uczestników starodawnym zwyczajem dźwięki specjalnego dzwonu, odlanego jeszcze w roku 1791. Na sali sądowej zainstalowane są mikrofony. 300 przewodów „wynosi“ wszystko, co się stanie lub co się powie na procesie, we wszystkie strony świata. Niema najbardziej zapadłego kąta w Ameryce, gdzieby przy aparacie radjowym nie można było słuchać przebiegu procesu Lindberghów tak, jakby się było na sali sądowej. Drogą radjową rozchodzą się też fotografje procesu, z których jedną reprodukujemy dzisiaj.

Pierwsze parę dni procesu obfitowało w dramatyczne momenty: zeznania samego Hauptmanna, zeznania płk. Lindbergha, który siedział na sali o metr zaledwie oddalony od Hauptmanna, zeznania jego żony przerywane łzami, gwałtowna mowa prokuratora, równie gwałtowna a niezmiernie sensacyjna mowa obrońcy. Sam Hauptmann zaprzecza, jakoby on był sprawcą czy śmierci czy porwania małego Lindbergha, pomimo że skonstruowano już nawet teorję, jakoby Hauptmann, porwawszy dziecko, schodził z niem z okna po wysokiej drabinie, którą sam zbudował, przyczem szczebel się załamał, dziecko upadło i zabiło się.

Obrońca Hauptmanna poszedł jeszcze dalej: zaprzeczył on nietylko wszelkiej winie swego klienta, ale oświadczył sądowi, że zbrodnia została zorganizowana w samym domu Lindbergha przez pięć osób, których nazwisk on narazie nie wymienia. — Wśród najbardziej sprzecznych nastrojów, po odrzuceniu żądania adwokata, aby wyznaczono inną ławę przysięgłych i po gwałtownem zajściu między adwokatem a prokuratorem, proces niespodziewanie przerwano, wobec tego, że jeden z przysięgłych zachorował...

VIII. AWANTURY ALBAŃSKIE. W państwie najnowszego z pośród królów Europy, Achmeda Zogu, coś się podobno psuje. Zresztą dokładnie niewiadomo — przychodzą najsprzeczniejsze a bardzo sensacyjne wiadomości. Wedle jednego telegramu, w pobliżu pałacu króla Zogu w stolicy Albanji w Tiranie, wybuchło kilka bomb i nawet król miał zostać ranny. Bomby te rzucili spiskowcy sprzymierzeni z powstańcami, którzy mają panować nad północną częścią Albanji. Przywódcą powstańców jest były adjutant króla, Bajraktar. Powstańcy odrzucili królewskie propozycje zgody, mają zwolenników także w południowej Albanji, w różnych garnizonach, i w samej stolicy, zwłaszcza wśród młodszych oficerów. Wogóle cała Albanja ma być objęta niezadowoleniem skierowanem przeciwko cudzoziemcom (Włochom), którzy obsadzili stanowiska w armji albańskiej, nasyłają kolonistów itd. Sam król Achmed Zogu ma być każdej chwili gotów do ucieczki, w tym celu czeka na niego w porcie Durazzo samolot...

A teraz druga porcja wiadomości: w Albanji spokój; zamachu nie było; powstańców też niema; przywódcę powstańców Bajraktara, który stał na czele kilkuset malkontentów, ujęły albańskie wojska rządowo-królewskie; wzięły one nadto do niewoli 3500 powstańców; król nie ucieka, natomiast powstańcy uciekli i uciekają do kryjówek górskich, gdzie niebawem wszyscy będą pojmani i uwięzieni; król Achmed Zogu tylko lekko zachorował... Dla pewności podajemy fotografję Achmeda Zogu I, który może łatwo przestać być królem, a w każdym razie jest przystojnym mężczyzną.









KOBIET W POLSCE





517. p. Maryśka W. — Mielec.
fotograf nie wymieniony.

519. p. Lodzia Cesiulówna, Polka z Łotwy.
fotograf nie wymieniony.



P. Janina Śliwowa z Bydgoszczy (po raz pierwszy zamieszczona pod tym samym numerem konkursowym VI w Nrze 4-tym naszego pisma).
fot. Pecherski — Bydgoszcz.

518. p. Irena H. — Szczekociny.
fot. „Sztuka" — Częstochowa.

TYPY URODY





520. p. Jana — Katowice.
fotograf nie wymieniony.



521. p. Rona O. — Wilno.
fot. B. Brudner — Wilno.



522. p. Danusia Ch. — Baranowicze.
fotograf nie wymieniony.



523. p. Wisiunia S. — Zbaraż.
fot. Z. Weissmann.



527. p. Marysia J. — Tomaszów Mazow.
fot. „Leonar" — Tomaszów.



524. p. Hanka Polehowska — Pińsk.
fot. Ch. Czertok — Pińsk.



525. p. Zofja E. — Warszawa.
fotograf nie wymieniony.



526. p. Irena Monasterska — Schodnica, „vice-miss Szczawnica 1934".
fot. Rosberger — Schodnica.



528. p. Janeczka Grabińska, Lwowianka, obecnie zamieszkała w Poznaniu.
fotograf nie wymieniony.



529. p. Iga H. — Kraków.
fot. Garzyński — Kraków.



530. p. Ludwika Lipińska — Łódź.
fot. „Sfinks" — Łódź.



531. p. Staszka z Maczek.
fot. Bracia Altman — Sosnowiec.



532. — p. Bisienka — Warszawa.
fot. „Versal" — Warszawa.



533. p. Irena Golke — Łódź.
fot. Z. Ryniecka — Łódź.

NA PIĘKNEJ, STAREJ WYSPIE...



Stalin — dyktator Rosji.
powyżej: Kirow.

W dzień Nowego Roku wszyscy tradycyjnie i urzędowo pokrzepialiśmy się, że przecież na świecie mimo wszystko nie jest tak źle, że może on być piękny, i że jakoś ten rok świat przetrzyma. Powtarzano to we wszystkich krajach — bez wielkiego przekonania, nie wypowiadając dokładnie: na czem się te nadzieje i rachuby polepszenia opierają. Tylko w *jednym* kraju znalazła się głowa rządu, pierwszy minister, który oświadczył, że kryzys się skończył, że spokój i dobrobyt powróciły już i powrócą w jeszcze większym stopniu (przynajmniej w tym kraju, że pokój na świecie się utrzyma i powiedział także: dlaczego. Ministrem tym był premier Anglji — a miał on rzeczowe podstawy do takiego twierdzenia, patrząc ze swojej wyspy, „starej wesołej Anglji“ na to, co się działo w końcu starego roku we wszystkich krajach europejskiego kontynentu.

Fala wzmożonego teroru przeszła przez Niemcy, Sowiety, Hiszpanję, Austrję. Wstrząsy wewnętrzne dały się odczuć we Francji (6 luty) i nawet na Litwie. Węzłem gordyjskim międzynarodowego teroru rozciętym był zamach marsylski, który zwrócił uwagę Europy na grupy terorystów macedońskich i chorwackich. Z większych państw Europy — rok 1934 przeszedł spokojnie tylko w Polsce i Anglji. Państwo nasze dzięki dobrej polityce zagranicznej odgrywa coraz znamienitszą rolę na terenie europejskim. Proszono nas nawet o gwarantowanie niepodległości Austrji (to już taka spuścizna po Sobieskim).

Wyspą spokoju tuż pod bokiem podminowanego kontynentu europejskiego jest Anglja — kraj, w którym zapędy przewrotowe rozbijają się o poszanowanie tradycji, a rewolucyjne plany o zamiłowanie porządku i autorytetów od królewskiego począwszy. Z Anglją zdaje się łączyć obraz „dżentelmenów-rewolucjonistów“, którzy na wiadomość, że król jest chory, prosto z barykad z pieśnią „God save the King“ na ustach udają się pod pałac królewski...

Pozatem Anglja teraz, zdaje się, odziedziczyła po Austrji przysłowie: „inni niech prowadzą wojny domowe — ty Anglio żeń się“.

Z Hiszpanji otrzymywaliśmy w bieżącym roku listy zbombardowanych miast.

Z Austrji listy zabitych w wojnie domowej.

Z Niemiec wiadomości o czystkach partyjnych.

Z Francji o aferach finansowych i rewolucji w obronie — szefa policji paryskiej.

Z Anglji zaś szły w świat wiadomości o toaletach ślubnych panny młodej i frakach królewskiego pana młodego.

BOGAĆ MY SIĘ NA ŚLUBACH...

Korespondencje z Anglji przypominały te dawne, przedwojenne dobrotliwe czasy, kiedy zamożniejsze sfery ,biorąc gazetę do ręki, czytały przedewszystkiem sprawozdania balowe: aby dowiedzieć się, *kto* gdzie był i *jak* był *ubrany*.

Podniosły się przeciw temu w samej Anglji głosy krytyki: Anglja ma armje bezrobotnych, a „wyższe dziesięć tysięcy“ (to znaczy, ci, którzy mają conajmniej dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu) wydają bajońskie sumy na uświetnienie ślubu brata następcy tronu.

Lecz znalazła się odrazu grupka ekonomistów, którzy na podstawie cyfr oficjalnych stwierdzają, że wystawne śluby królewskie — zmiejszają kryzys. Bo wtedy w myśl zasady „zastaw się, a postaw się“, ludzie wyciągają z ukrycia ostatni grosz i puszczają go na rynek. Handel ożywia się — dziesiątki tysięcy kupców, rzemieślników, pośredników znajduje zarobek, co zkolei wpływa na ożywienie się produkcji przemysłowej i t. d. Właśnie w okresie uroczystości ślubnych księcia Kentu zaobserwowano podobno pewne, nawet dość znaczne złagodzenie kryzysu. Stąd wniosek: śluby książąt i królów powinny się odbywać więc jak najczęściej, gdyż tylko w ten sposób świat wyjdzie cało z ciężkiego kataklizmu gospodarczego. No dobrze — ale co mają robić republiki?

Żart na bok. W dwóch krajach europejskich rzucone zostało hasło: zbytek. Jest rzeczą charakterystyczną, że jednocześnie hasło to pojawiło się w dwóch państwach o skrajnie przeciwnej sobie budowie społecznej i politycznej. Sowiety, które jak już poprzednio zaznaczyliśmy, złożyły u zarania rewolucji „śluby ubóstwa“, obecnie rozwinęły propagandę kultu wzbogacania się: niech robotnik czy inżynier żyje w komforcie, niech ma nawet osobny pokój i dywanik przed łóżkiem. Jeszcze parę miesięcy a Stalin rzuci hasło, że każdy robotnik unji sowieckiej powinien mieć na niedzielę kurę w garnku. Ostatecznie Sowiety mają się z czego cieszyć: zaczynali przecież od małego. Jedynym ich kapitałem zakładowym był „Kapitał“ Marksa. Obecnie dorobili się już własnego kapitału, którego używają w coraz większej sprzeczności z zasadami Marksa.

RATALNY ZBYTEK.

A jednak hasło zbytku, jako najlepszego środka do walki z kryzysem, jest dość ryzykowne. Jeśli przypomnimy sobie przebieg przesilenia gospodarczego w Stanach Zjednoczonych, to uprzytomnimy sobie, że właśnie nadmierny zbytek, życie nad stan w okresie prosperity czyli dobrobytu, doprowadziło tam do kryzysu o wiele ostrzejszego, niż w Europie. System ratalnej sprzedaży, wskutek której przeciętny Amerykanin *za dłużał się ponad swoją możność wypłacalności na długie lata*, doprowadził do tego, że nagle magazyny amerykańskie znalazły się bez odbiorców, gdyż klijenci byli tak zadłużeni, iż nie mogli już kupować ani gramofonów ani aparatów radjowych, ani wózków dziecinnych, ani samochodów... Zresztą we wszystkich dziedzinach amerykańskich było tego przeciętnego mieszczańskiego zbytku aż za dużo.

I naodwrót: w Europie zaobserwowaliśmy, że kraj taki jak Polska, który w okresie dobrobytu bynajmniej nie prowadził życia nad stan, stosunkowo łagodniej przechodzi kryzys, niż inne państwa.

Zbytek może być dobrem chwilowem lekarstwem, ale uśmierzając ból, jednocześnie nadwyręża organizm.

Anglja próbowała już wiele śródków w walce z kryzysem. Zdobyła się na tak wielką ofiarę, jak dewaluację funta szterlinga, byleby tylko wzmóc eksport. Przyjrzyjmy się — jak Anglja starała się walczyć z kryzysem i jakie były tego dotychczas rezultaty.

Od zakończenia wojen napoleońskich Anglja, królowa mórz, była jednocześnie królową handlu światoweog. Przodowała w produkcji węgla, w przemyśle włókienniczym i metalurgicznym. Przyjąwszy zasadę wolnej wymiany dóbr, Londyn stał się centrum handlu światowego, a jednocześnie został światowym bankierem. Wielka Brytanja, panująca oficjalnie nad 1/5 częścią świata, panowała nad resztą dzięki swym operacjom finansowym i handlowym.

Dla dobra swych bankierów i fabrykantów poświęciła rolników. Wierzyła bardziej w łokieć i wagę, aniżeli w pług. Wzamian za swe towary włókiennicze sprowadzała zboże i mięso, uważając to za lepszy interes, niż rozwijanie własnego rolnictwa i hodowli bydła. Podnosiły się wtedy głosy protestu, wskazywano na odstraszający przykład Wenecji, tych kupców bez rolnictwa, które musi być zawsze podporą i podstawą każdego systemu gospodarczego.

Nie słuchano jednak tych ostrzeżeń. Ludność Anglji rosła, a ilość rolników malała. Anglja była krajem, który utrzymywał się ze sprzedaży własnych wyrobów przemysłowych, z przewożenia morzem towarów cudzych i pośredniczenia w ich sprzedaży. Tak więc była fabrykantem, kupcem i przewoźnikiem.

Lecz przyszedł wielki kryzys światowy, który osiągnął swój punkt najgroźniejszy dla Anglji w roku 1931. Okazało się wtedy nagle, że państwa, które starają się coraz bardziej być samowystarczalne, przestają wymieniać między sobą towary. Niema czego przewozić — niema czem handlować — niema w czem pośredniczyć. Okręty mogły iść na szmelc.

Drugie bogactwo Anglji obok morza — węgiel, również zawiódł. Obce kopalnie ,bardziej nowocześnie urządzone, produkowały taniej. W wielu krajach postęp elektryfikacji zmniejszył zapotrzebowanie węgla. Prawda, Anglja była jeszcze bankierem świata, żyła z procentów od pożyczek. Ale komuż teraz pożyczać, gdy nikt nie jest pewnym dłużnikiem?

Przemysł? Ależ w międzyczasie Niemcy, Ameryka, Japonja przeorganizowała swój przemysł, unowocześniła go, zracjonalizowała i trzy te państwa stały się groźnymi konkurentami dla opartego o tradycję przemysłu angielskiego, prowadzonego przez ludzi nienawidzących nowości, przywykłych do wygód i do dostarczania towarów tradycyjnym dobrym klijentom, czyniącym zakupy w Anglji od paru conajmniej wieków.

A oto nagle ci klijenci znikli, bo albo nie mieli pieniędzy, albo, mając pieniądze, kupowali gdzieindziej, taniej i na lepszych warunkach. To też w styczniu 1931 roku ilość bezrobotnych w Anglji wynosiła 2.600.000, w porównaniu ze styczniem poprzedniego roku wzrost o 1,100.000 bezrobotnych. W kopalniach, przemyśle metalurgicznym i tekstylnym, w warsztatach okrętowych straciła pracę 1/3 częśc robotników.

SPUSZCZONO Z TONU I Z — FUNTA.

Wprawdzie zamożna Anglja może jako tako utrzymać swych bezrobotnych, dzięki czemu nie dochodzi tam do poważniejszych wstrząsów społecznych. Jednakże utrzymanie takiej armji bezrobotnych, przywykłych z dawniejszych czasów do dość wysokiego poziomu życia ,było ciężarem nawet dla takiego bankiera świata, jakim była Anglja. Rzeczywistość domaga się obniżenia wysokowartościowego funta szterlinga, gdyż tylko w ten sposób towar angielski będzie mógł konkurować na rynkach świata z towarami innych państw. Ta sama rzeczywistość domaga się również, niestety, obniżenia dość wysokich w stosunku do kontynentu płac robotnika angielskiego. Ale okazuje się, że angielskie związki zawodowe (Trade Union'y), podobnie jak bankierzy City, w stosunku do funta są nieustępliwe i pragną utrzymać dawne tradycyjnie dobre zarobki. Nikt nie chce z tonu spuścić, nie można obniżyć kosztów produkcji i eksport katastrofalnie spada.

To było w roku 1931.

Obecnie mamy rok 1935. Jak wygląda *teraz Anglja*, która zdobyła się na obniżenie wartości funta szterlinga i na obniżenie płac?

Trzeba tu zaznaczyć, że pewne obniżenie wartości funta szterlinga nie było zupełnie zjawiskiem odpowiadającem zawsze katastrofalnej w skutkach inflacji, która na kontynencie europejskim w latach bezpośrednio po wojnie święciła swe orgje.

Otóż Anglja po trzech latach „wielkiej ofiary“ może się poszczycić pewnemi sukcesami. Najbardziej rzucającym si ęw oczy sukcesem jest niewątpliwie *zmniejszenie się liczby bezrobotnych*. Pod koniec zimy 1931 roku liczba bezrobotnych dochodziła do trzech miljonów. Obecnie waha się około dwóch miljonów. Bezrobocie to, jak gdyby się „ustabilizowało“. Mimo wielkiego ciężaru, jakim jest utrzymanie tych dwóch miljonów bez pracy, budżet państwa jest zrównoważony. Poprawiło się również w przemyśle. Przedewszystkiem zauważono znaczną poprawę w przemyśle metalurgiczym, chemicznym i okrętowym. W handlu zagranicznym, mimo tej poprawy wewnętrznej, nastąpiła poprawa zaledwie o parę procent, ale i to dobre, bo dotychczas obroty zagraniczne stale spadały.

Zobaczymy, jak głęboko w życie angielskie sięgnęła ta poprawa...



Marsz bezrobotnych na Londyn.

LATAJĄCY WIATRAK



Aniśmy się nie obejrzeli, jak na wspaniałem już drzewie — jeżeli można użyć takiej przenośni — lotnictwa wyrosła szybko nowa gałąź, bardzo ważna, stanowiąca zasadniczy krok naprzód w opanowaniu przestworzy powietrznych przez człowieka.

Pierwszym było uniesienie się w powietrze zapomocą przyrządu lżejszego od powietrza, wypełnionego gazem czyli balonem. Drugim — lot na maszynie cięższej od powietrza, na samolocie, który jednak tem jeszcze różnił się od naturalnych „samolotów“ czyli ptaków, że jego płaszczyzny nośne nie są ruchome jak skrzydła u ptaka, lecz w olbrzymiej części nieruchome i nie one to zasadniczo sprawiają zarówno poruszanie się naprzód jak wznoszenie się w górę samolotu, lecz śmigła, które „podbijają“ powietrze pod skrzydła samolotu.

Za trzeci krok w lotnictwie uważać należy wynalazek „*helikopteru*“ albo *autogiro* (po polsku należy czytać *autożiro*) — samolotu, który w pierwszych swoich stadjach miał jeszcze za płaszczyzny nośne nieruchome skrzydła, ale obecnie rolę skrzydeł odgrywają już u niego tylko płaszczyzny nośne górnego śmigła, które zarazem utrzymują aparat w powietrzu i sprawiają jego wznoszenie się do góry.

To właśnie „autożiro“ — względnie jak go teraz proponują nazywać po polsku: „*wirowiec*“ (a może „wirolot“, choć wirowiec jest stanowczo nazwą lepszą, lepszą również od proponowanego „pionolotu“) — wydaje się być obecnie maszyną powietrzną przyszłości. Rozwinęła się ona niespodzianie, jak już wyżej powiedziano, prędko, i co najważniejsze naturalnie (bez impulsu wielkiej wojny, jak samolot) w ciągu lat niewielu więcej niż dziesięciu.

Wynalazcą tego typu *wirowca* był hiszpański inżynier Juan de la Cierva. Pomysł przyszedł mu w roku 1923 i podobno na sali opery w Madrycie w środku słuchania „Traviaty“. Gdy mu ten pomysł, nad którym zresztą pracował już dawno, błysnął w skończonym kształcie, zerwał się, ku zdumieniu obecnych, w trakcie przedstawienia, pospieszył do domu nie wziąwszy nawet garderoby, i w domu przez całą noc przesiedział na rysunkiem stanowiącym plan nowej maszyny lotniczej: „pół ptaka, pół śruboskrzydłowca“. W konsekwencji nazwał go zresztą *auto giro*, co przełożone dosłownie na polskie znaczyłoby „*samobąk*“.

Pod tem mianem nowego typu samolot wszedł w świat. Spotkał się zresztą z początku — jak to zwykle bywa z nowemi wynalazkami — ze wzruszaniem ramion i z niedowierzaniem, tembardziej, że miał swoje „dziecinne choroby“ i braki w pierwszych stadjach rozwoju. Te jednak pokonywał inżynier Cierva i usuwał: w roku 1925 już poprowadził swoją maszynę po za Hiszpanją, we Francji i w Anglji, a w roku 1926 już w Londynie powstało towarzystwo „*Autogiro Company Limited*“, które rozpoczęło produkcję wirowców na wielką skalę oparłszy się na mocnych finansowych podstawach.

Budowę udoskonalono, zabezpieczono skrzydła wiatraka unoszącego aparat w powietrzu, od złamań, zaopatrzono go w „starter“ elektryczny o 75 obrotach na minutę (przedtem wiatrak wprawiano w ruch rękoma) — a teraz istnieją już 44 rozmaite typy wirowców, które się fabrykuje w kilku krajach Europy i w Ameryce. We Francji, Anglji i w Stanach Zjednoczonych te „latające wiatraki“ (jak te nazwali Anglicy) odgrywają znaczną rolę w komunikacji powietrznej: odbywa się nimi np. swobodnie z jednego końca kontynentu amerykańskiego na drugi, przeszło 4.000 kilometrów.

Co najważniejsze jest u wirowców, to okoliczność, że *nie potrzebują one miejsca do rozpędu po ziemi* jak samoloty, nawet najkrótszego. Ruch bowiem poziomy nadaje im wprawdzie śmigło jak u zwykłego samolotu, natomiast ruch pionowy, wznoszący w górę, dostają do swojego „wiatraka“ czy rodzaju turbiny powietrznej — to też wirowce zarówno wznoszą się w powietrze, jak i „siadają“ na ziemi na bardzo niewielkiej przestrzeni.

Można już wzlatywać wirowcem zarówno z płaszczyzny dachu jakiegoś większego domu, jak z okrętu. W ostatnich dniach na manewrach floty włoskiej w pobliżu portu Spezia, zaproszony przez dowództwo włoskie lotnik angielski Brio wystartował na swoim wirowcu z pokładu krążownika, jadącego z szybkością około 40 kilometrów na godzinę i po krótkim locie wylądował na pokładzie krążownika znajdującego się w dalszym ciągu w ruchu — z platformy i na platformę mającą średnicy zaledwie około 10 metrów. Jest to sukces, który pozwala mówić o tem, że *wirowiec* czy *wirolot* jest maszyną lotniczą, która znajdzie w przyszłości we wszystkich krajach wielkie zastosowanie. W Ameryce, w szczególności w Nowym Jorku, samoloty-wirówce znalazły już nawet zastosowanie jako powietrzne taksówki. Rzecz zrozumiała wobec tej dogodności, jaką stanowi pionowe bez rozpędu wznoszenie się do góry wirowca, który może odfrunąć z każdego dachu drapacza chmur i na każdym następnym dachu „przysiąść“. Jeszcze parę lat, a będzie się do wirowca siadać wprost z balkonu, co zwłaszcza w romantycznych porwaniach odegra decydującą rolę. „Lekkomyślnem“ zastosowaniem wirowca, zajmuje się na serjo lotnictwo wojskowe, zwłaszcza angielskie lotnictwo marynarki, albowiem wirowce nie potrzebują specjalnych okrętów „awjonetek“.

Nawiasem mówiąc, już i u nas, w Warszawie, znajduje się jeden samolot wirowiec, sprowadzony do Polski właśnie od „Autogiro Company Limited“ z Londynu — przyleciał na nim lotnik Stachoń. — W Niemczech zajmują się wirowcami bardzo poważnie i już od dawna. Już w roku 1926 pierwszy wirowiec wylądował na berlińskim lotnisku Tempelhof, gdzie w roku 1930 sprowadzono drugi, udoskonalony. Obecnie w zakładach *Foke-Wulf w Bremie*, na podstawie licencji angielskiej, buduje się wirowce z motorami Siemensa. W Paryżu nierzadki jest widok lądującego w środku miasta wirowca na jakimś większym placu...

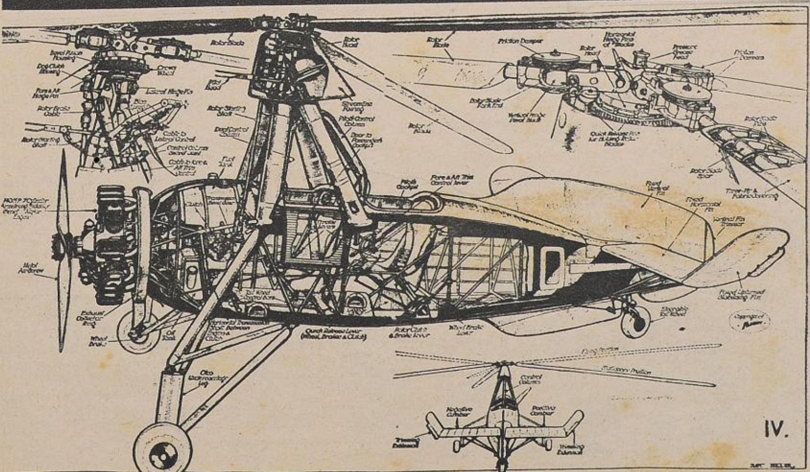
Dla nas specjalnie ciekawą okolicznością jest fakt, że *wcześniejszym* od hiszpańskiego Ciervy *wynalazcą wirowca*, względnie zasady, na której oparty jest lot wirowca, ma być *Polak, inżynier Cioroch, współpracownik* i zięć ś. p. *prof. Rychnowskiego*, który odkrył zjawisko tak zwanej „płaszczyzny dynamistycznej“ szesnaście lat temu i zbadał je naukowo *na specjalnej stacji doświadczalnej w Dołobowie nad Dniestrem.*

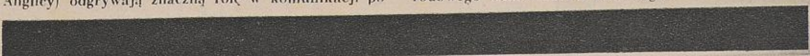
Odkrycie inż. Ciorocha i prof. Rychnowskiego, zastosowane do samolotów w postaci śmigła obracającego się na osi pionowej, daje właśnie nic innego jak autożiro czyli wirowiec. Wynalazek polskiego inżyniera został nawet zgłoszony wcześniej niż patent hiszpański, lecz nie zastosowano go praktycznie — podczas gdy inż. Cierva poszedł właśnie w tym kierunku, wobec czego „wprowadził się“ do międzynarodowego budownictwa lotniczego.



IV. Dokładny rysunek (angielski) samolotu wirowca w przekroju, przedstawiający jego budowę zewnętrzną (wiatraka i t. d.), jak wewnętrzną, motor, liny i dźwigi sterowe i t. d. Na rysunku tym widać, że przedstawiony na nim wirowiec ma motor 7-cylindrowy o sile 140 koni, z fabryki Armstronga.







Wynalazca polski pracował tylko nad stroną naukową zjawiska, wiedząc zresztą, że może być ono zastosowane praktycznie w lotnictwie — niestety, zabrakło mu poparcia i bliższego zainteresowania się, co zresztą zdarzyło się już wielu wynalazcom i nietylko u nas.

Może być, że u nas jeszcze ktoś wróci do badań ś. p. prof. Rychnowskiego i inż. Ciorocha i spróbuje samodzielnego zastosowania osiągniętych przez nich wyników przy budowie krajowych samolotów wirowców. Narazie wszakże musimy brać to, co jest już zagranicą w formie wypróbowanej i bardzo udoskonalonej.

I. Samolot-wirowiec w Polsce — na zdjęciu płk. Stachoń, który przypilotował angielski wirowiec z Londynu, sfotografowany przy wylądowaniu na lotnisku w Okęciu. — Nosi on już znaki polskiego lotnictwa. Fotografja daje dobre pojęcie o konstrukcji jego „wiatraka.

II. Inż. Juan de la Cierva — wynalazca wirowca.

III. Typ nowego angielskiego samolotu-wirowca bez skrzydeł i steru, podczas lotu w miejscowości Hanworth w hrabstwie Middlesex. Leci na nim sam inż. Cierva. Aparat jest nadzwyczaj łatwy do kierowania — choć bez steru — lekkie poruszenie dźwigni wystarcza, aby go skierować w dół, w górę lub w bok. Przy tem szybkość poziomą lotu tego samolotu-wirowca równa się szybkości przeciętnego aeroplanu.



DZICY „NĘDZARZE“ Z ZA JORDANU: KOCZOWNICZE OBOZOWISKO HAURANÓW.



I. Szejk obozowiska Hauranów i jego żona.

Dziwne są koleje dziejów: ktoby przed dwudziestu jeszcze laty pomyślał, że wyzwolenie z rąk tureckich Palestyny, ziemi świętej dla całego świata chrześcijańskiego, będzie jednym, jeżeli nie z celów, to w każdym razie z rezultatów wielkiej wojny światowej? Że, dalej, wojska wyzwoleńcze, które miały sprawić to, czego nie mogli dokonać rycerze wszystkich pochodów krzyżowych całej Europy, przyjdą do Jerozolimy z *Egiptu* i że wykonawcami tradycji krzyżowców będą przybywający na wielbłądach angielsko-egipscy żołnierze pod wodzą generała Allenby, który miał na myśli wszystko, a tylko nie wyzwolenie grobu Chrystusa? Że, idąc jeszcze dalej, to odebranie wreszcie Ziemi Świętej niewiernym Turkom bynajmniej nie pociągnie za sobą zmniejszenia tam wpływów mahometańskich i wzrostu chrześcijanizmu, lecz tylko wzmożony napływ Żydów nad brzegi Jordanu, na wzgórza Judei i Galilei?

A jednak tak właśnie obróciło się koło dziejów. — Palestyna, dostawszy się pod rządy chrześcijańskiego państwa, w niczem prawie nie przysporzyła blasku kultowi chrześcijańskiemu — natomiast stała się jednem z ogniw, skupiających na sobie zainteresowanie światowe, krajem, który nabrał znaczenia zarówno politycznego jak i gospodarczego, w krótkim czasie stanął w obliczu niespodziewanego rozwoju, a zarazem przewrotu gospodarczo-społecznego.

Palestyna dzisiejsza a Palestyna z przed ćwierć wieku, to dwa jakby zupełnie różne kraje: zniknęła ospała „tureczczyzna“, panująca tam przedtem niepodzielnie, staroświecka i patrjarchalnie zacofana — zjawiły się samochody, drogi, autobusy, elektryfikacja. Wyrosło niespodzianie nad morzem, na miejscu małej wioseczki, zupełnie nowe miasto żydowskie, Tel-Aviv, o stu tysiącach mieszkańców. Żydowscy koloniści przetworzyli w rolnicze osady pustkowia, leżące ugorem od lat niemal dwóch tysięcy, powstały fabryki, wyłoniła się naraz kwestja robotnicza i kwestja żydowska, żydowskie pogromy i żydowsko-arabskie walki...

Potężny, choć niewidzialny pług, któremu na imię: kapitał, ożeniony z pracą ludzką — przeorał cały ten kraj wzdłuż i wszerz, zrobił go ośrodkiem nowych zainteresowań i nowych zagadnień — poruszył te z tysiącletniej drzemki miejscowe ludy, częściowo koczownicze i pasterskie. Wywołał w ich życiu zasadnicze zmiany.

Oddziaływanie tej „nowej Palestyny“, będącej jakby małą „azjatycką Ameryką“, sięgnęło nawet po za je terytorjum — na wschód za Jordan i na północ k Syrji — w życie tamtejszych ludów, wiodących d niedawna żywot może jeszcze bardziej pierwotny, ni Arabowie palestyńscy. Poniżej zamieszczony przez na list jednego z przygodnych naszych korespondentów nadesłany nam z Jaffy wraz z oryginalnemi fotografjami, które reprodukujemy, daje obraz życia jedneg z tych ludów syryjsko-za-jordańskich, ludu Hauranów Hauranie ci, właściwie muzułmańscy Druzowie — zamieszkali w kraju na wschód od Jordanu i na północ od jeziora Tyberjadzkiego (o obszarze równym obszarowi Palestyny, lecz jakieś sześć razy mniej gęsto zaludnionym między Palestyną a Syrją — przeżyli przewrót podwójny.

Po pierwsze dotknęła ich osiem lat temu klęska posuchy, która z kraju przedtem dość żyznego, wywożącego nadmiar swych produktów rolnych, zrobiła półpustynię, a z mieszkańców jego największych nędzarzy bliskiego Wschodu.

Po drugie zaś ulegli oni przyciągającemu działaniu wielkiego ośrodka handlowego, a przedewszystkiem wielkoprzemysłowego, jakim nagle stała się Palestyna Popędzana nędzą znaczna ich część wyruszyła nagl wielką falą emigracyjną ze swego kraju w poszukiwaniu za pracą i zarobkiem, jako tani robotnicy, ku nowopowstałym palestyńskim miastom żydowskim. — Pozostała zaś w kraju reszta prowadzi dalej życie koczowników, tembardziej nędzne i surowe, że kraj prawie bezleśny, z wyschniętemi teraz rzekami, nie pozwala na utrzymanie na dawniejszym poziomie hodowli, będącej ich jedynem źródłem utrzymania.

Poza tem życie to jest pełne egzotyczności, tak staroświeckiej, że ma koloryt aż biblijny — z tą chyba różnicą, że ci współcześni koledzy patrjarchów uprawiają wielożeństwo w imię Mahometa. O sposobie ich

„DZICY“ ZZA JORDANU



życia, jego poziomie i obyczajach daje dość dobre pojęcie korespondencja p. J. Hessla, a o malowniczości wyglądu, której bieda zatrzeć nie zdołała, fotografje jego z obozowiska Hauranów.

Jaffa, w grudniu.

Dokładnie o świcie docieramy do pierwszych wiosek arabskich w Transjordanji. Celem naszej wycieczki jest zwiedzenie osiedli hauranskich Arabów, znanych ze swego przysłowiowego już ubóstwa i ze swej najniższej na Bliskim Wschodzie stopy życiowej. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że Hauranie tworzą na Wschodzie szczep nędzarzy, o trybie życiowym, jakiego Europejczyk nawet w przybliżeniu nie jest w stanie sobie wyobrazić. Niegdyś zamożny szczep koczowniczych pasterzy, stał się ten odłam Arabów w latach powojennych, a w szczególności w roku 1926, najuboższym ze wszystkich znanych szczepów arabskich Bliskiego Wschodu.

Wycieczka do Transjordanji nie należy do rzeczy łatwych, ani bezpiecznych. Hauranie, jakkolwiek bardzo gościnni, o czem się dopiero później przekonaliśmy, niechętnie widzą „cywilizowanych“ przybyszów, obawiając się, by ci nie przynieśli ze sobą jakiejś „ustawowej“ zmiany w ich dotychczasowym trybie życia. Przekonaliśmy się jednak rychło o naszej pokojowej „misji“ i zostaliśmy z tem większą serdecznością przyjęci.

Stanąwszy wysoko na górach Transjordanji, mamy u stóp naszych widok na trzy sąsiadujące ze sobą wioski, względnie osiedla hauranskie, które są oddzielone od siebie prawie kilometrowym pasem pustynnego piasku. Z północy mamy Syrję, z zachodu Palestynę, a z południa i ze wschodu bezkresną pustynię, pokrytą tu i ówdzie kępkami niskiej i pożółkłej od słońca trawy. Wąski, płytki potoczek stanowi z jednej strony naturalną granicę dwóch obozów hauranskich.

Zmęczeni trzydniową podróżą, wybieramy za cel najbliżej leżącą wioskę, której namioty bieleją w blaskach wschodzącego słońca. Pierwszy napotkany Hauran prowadzi nas, jako obcych przybyszów, do szeika. Mimo dość wczesnej pory, ruch w obozie znaczny. Przed obozem szeika Arab uderza w kołatkę, umocowaną na długim drążku bambusowym, poczem znika. Z wnętrza wychodzi na nasze spotkanie sam szeik, mąż o imponującej i majestatycznej postawie, który — co nas mocno zdziwiło — powitał nas podaniem ręki. W kombinowanem narzeczu arabsko-angielsko-francuskiem tłumaczymy szeikowi cel naszej wizyty. Szeik pozwala nam chętnie na zwiedzenie obozu, ubolewa jedynie nad tem, że nie będzie nam mógł dać do „eskorty“ nikogo, gdyż wszyscy mężczyźni zajęci są czyszczeniem i „szorowaniem“ bydła, przedewszystkiem wielbłądów. Trafiliśmy bowiem na dzień, który raz w miesiącu wyznaczony jest przez szeika na taką „ogólną czystkę“.

Po krótkim odpoczynku w pobliżu namiotu szeika, który po kilku komplementach daje się zdjąć wraz ze swą żoną, udajemy się na zwiedzenie obozu. Pierwsze, co nas uderza, to prymitywizm, jaki we wszystkich przejawach życia wewnętrznego Hauranów, osiągnął — zdaje się — tu swój zenit. Zwykły, podarty namiot, bez jakiegokolwiek urządzenia wewnętrznego, to jedyne dobro, jakie Hauran posiada. Bogactwo jego — to bydło, którego ilość jest tu jedynym miernikiem wyższości jednych nad drugimi i probierzem ustosunkowania się bogatszych do ubogich. Bydło jest u Hauranów, podobnie, jak u innych szczepów pasterskich, równocześnie objektem kupna, sprzedaży i zamiany, główną ostoją ich bytu, jest wszystkiem. I dlatego dzień, poświęcony opiece „chlebodawców“ jest swego rodzaju lokalną uroczystością, w czasie której żadnego mężczyzny nie może braknąć w obozie. W obozie uwijają się specjaliści „dentyści“, których obowiązek polega na dokładnem zbadaniu uzębienia zwierząt i leczeniu schorzeń. Jesteśmy świadkami wyciągania zęba wielbłądowi — uwieczniamy na kliszy ten moment dentystyczny zajordański.

Wąskiemi uliczkami, a właściwie ścieżkami wioski, przeciągają kobiety z wiązankami chrustu na głowach. Zbiórka drzewa na podsycenie ogniska obok każdego obozu jest tu najważniejszem zadaniem kobiet. Namiot bez ogniska wieczorem uważany jest za martwy, jak w Europie dom bez żadnego oświetlenia. Przy ognisku rozstrzygają się wszelkie sprawy codziennego życia, omawiane są wyprawy i zdarzenia.

Prymitywizm życia Hauranów nie doznał od wieków żadnej zmiany. Obserwując ich wegetację, zdajemy sobie sprawę, że tak, a nie inaczej musiało wyglądać za czasów biblijnych. Na ekranie życia obserwujemy postacie, które w konserwatyźmie swym potrafiły ostać się skutecznie naporowi „cywilizacji“, potrafiły zachować biblijną praktykę, tak obcą nam, przybyszom z Zachodu, z europejskiego świata...

W ośrodku obozu ruch największy. Znajdujemy tam kilku „kupców“, których cały „towar“ stanowi setka pomarańcz lub pomidorów, wystawionych na małej, połamanej skrzyni przed namiotem. Konkurencji, czy też prześcigania się dla zjednania klijenta, ani śladu. Ze stoickim spokojem i cierpliwością oczekują na przybycie kupujących. Po wysprzedaniu całego zapasu „towaru“, Hauran — „kupiec“ staje się znowu pasterzem, by z nowym zbiorem powrócić do swego „sezonowego“ zawodu kupieckiego.

Pozostałością dawnych wieków jest niewolnictwo, które dotąd nie zostało wśród Hauranów zniesione, mimo faktycznego zrównania socjalnego wszystkich Hauranów. Gdy znikł widomy znak wyższości — bogactwo — znikło i faktyczne niewolnictwo, objawiające się obecnie jedynie w bardziej skomplikowanej formie powitania „pana“ i w pańszczyźnie, którą kilka razy do roku odrabiają Hauranie na rzecz swego „adona“.

Pozostało też i wielożeństwo, oraz stara forma kupowania żon, której to czynności dokonuje się w haremach, specjalnie na ten cel przeznaczonych. Są to namioty bez żadnych otworów „okiennych“, uniemożliwiające zaglądanie do wnętrza niepowołanym „amatorom“, a oznaczone zewnętrznie białą chorągiewką. Stanowisko kobiety jest jednak u Hauranów zupełnie inne, aniżeli u innych szczepów i ludów Wschodu, bardziej sprawiedliwe. Kobieta hauranska, która zdoła zastąpić mężczyznę w jego pracy nad ugruntowaniem egzystencji, jest też na równi z nim poważana i cieszy się tym samym mirem.

Rok 1926 przyniósł kardynalną zmianę w dotychczasowem życiu Hauranów. Katastrofalna posucha zmusiła w tym roku setki Hauranów do emigracji w poszukiwaniu za chlebem. Zjawili się całemi masami w portowych miastach Bliskiego Wschodu, gdzie, jako najtańsza siła robocza, chętnie są przyjmowani do wszelkich robót. Hauran, zadowalniający się płacą 5—8 piastrów dziennie, potrafi przy swej niskiej stopie życiowej odłożyć ponad połowę. Rzadko się zdarza, by Hauranie, którzy zasmakowali życia w „mieście“, powrócili do swych siedzib. Przeciwnie: emigracja z osiedli trwa w dalszym ciągu i tem się tłumaczy masowe przybycie ponad 20 tysięcy Hauranów do Palestyny. Dziś, dostawszy się tu nielegalnie, stanowią poważną konkurencję dla żydowskich emigrantów-chaluców, dla których „problem hauranski“ jest obecnie jednem z najważniejszych zagadnień. Nad rozwiązaniem „hauranskiego zagadnienia“ próżno się głowią prowodyrzy partji pracy, t. zw. „histadrutu haowdim“.

Dnie, spędzone przez nas, Europejczyków, wśród Hauranów zdają się napozór być puste, bez sensacyj, do których jesteśmy przyzwyczajeni, bez specjalnej dynamiki przeżyć, bez których nie wyobrażamy sobie życia. A jednak, gdy czas pozwolił nam rzucić snop refleksyj na ten krótki pobyt w gościnie „nędzarzy Wschodu“, odczuwamy pewną zazdrość, że nam „cywilizacja“ uniemożliwiła spędzenie życia wśród takich warunków duchowego spokoju, wśród takiej pełnej, stuprocentowej etyki w odniesieniu do naszych współtowarzyszy bytowania, którą chlubić się mogą biedni Hauranie...

J. Hessel.



II. Hauranski „dentysta wielbłądów“ przy operacji.

W KRAJU TANIEGO KRÓLA

LUDZIE I SPRAWY TAM, GDZIE HISTORJA „ROŚNIE W OCZACH"

Jesteśmy w nowem mieście, nowej stolicy nowego państwa, stworzonego niemal z dziś na jutro nakazem polityki wielkomocarstwowej, walczącej o panowanie nad Pacyfikiem.

Jeszcze ćwierć wieku temu była tu pustynia nad którą panował jakiś mandżurski książę. Jeszcze przed pięciu laty było tu brudne, obdarte miasteczko chińskie Czang Czung, zawdzięczające swe istnienie przebiegającej tędy linji kolejowej. Dzisiaj nazywa się Czang Czung *Hsinking*; a Hsinking jest *nową stolicą* stworzonego przez Japończyków *cesarstwa Mandżurji.*

„PARYŻ NA PUSTYNI".

Napisy na dworcu są w czterech językach: *po chińsku, japońsku, rosyjsku* i *angielsku.* Jeszcze na peronie meldować się muszą wszyscy obcy przybysze u japońskiej tajnej policji. Zupełnie jak na zachodzie, z peronu prowadzi w dół długi, jasno oświetlony tunel, z którego wychodzi się na wielki plac przed dworcem. Naprzeciw stoi potężny nowoczesny hotel Jamuto. Jamuto znaczy — duch Japonji. Na lewo leży stary Czang Czung, miasto chińskie; tam mieszkał właśnie do czasu przeniesienia się do nowego pałacu cesarz Mandżurji, Puji.

Na prawo od hotelu zaczyna się już jednak *nowe miasto.* Zaczyna się od eksterytorjalnego miasta japońskiego, którego przedłużeniem jest właśnie „ósmy cud świata" Hsinking. To miasto pilnych japońskich kupców i urzędników jest eldoradem i wieżą Babel lokalów rozrywkowych. Nowe bary wyrastają na każdym kroku przez noc jak grzyby. Tam, gdzie dziś był sklep z papierami, jest już jutro „Colibribar".

Główna ulica miasta jest niemniej szeroka i nie gorzej wyasfaltowana niż Champs Elysees w Paryżu. — Luksusowe limuzyny mkną i znikają bezszelestnie. Jeżdżą w nich japońscy doradcy różnych ministerstw, japońscy inżynierowie, śpieszący na lunch do hotelu Jamuto, bogaci kupcy z Tokia czy Osaki.

Obok limuzyn samochodowych widzimy jednak jeszcze ciągle chińskie riksze i sybirskie jednokonki. — Wśród nich zaś tłumy pieszych. Chińczycy w płaszczach mandarynów, Japończycy w kimonach, ale i w angielskich ubraniach „made in Tokio". Policjanci w błyszczących, nowiutkich mundurach regulują wprawnie ruch uliczny.

Dwa rzędy srebrzysto błyszczących latarń okalają główną ulicę. Tuż obok dwa rzędy drżących platanów, niedawno posadzonych. Na lewo i prawo od srebrnych słupów wznoszą się nowe budowle i gmachy cesarskiej stolicy. Niektóre już gotowe, niektóre wykańcza się dopiero.

I. W Mandżurji pospiesznie buduje się drogi nowoczesne przy pomocy traktorów.

II. Hsingking — nowa stolica państwa Mandżukuo, zabudowuje się jako zupełnie nowoczesne miasto; typowym przykładem tej nowoczesnej architektury Dalekiego Wschodu uwidoczniony jest na naszej fotografji gmach ministerstwa skarbu.

III—IV. Monarcha Mandżukuo, Piji, pod protekcją Japończyków reklamujący swoje prawa do tronu przodków, jest zupełnie młodym człowiekiem, ubranym i wychowanym po europejsku, (choć widać na nim dobrze typ mongolski); jego małżonka, królowa czy też nawet cesarzowa Mandżukuo, jest przy takiej samej egzotyczności urody osobą pełną swoistego wdzięku (nad głowami królewskiej pary flaga cesarska i sztandar państwa Mandżukuo).

GROBOWIEC SILNIEJSZY OD BAGNETÓW.

Zaraz na samym początku *stói monumetalny gmach japońskiej ambasady:* jest to zresztą równocześnie główna kwatera *armji kwantuńskiej,* t. j. oddziałów japońskich, stacjonowanych w Mandżurji. Ambasador jest najwyższym japońskim zwierzchnikiem na całem terytorjum. — W zdecydowanie nowoczesnym stylu postawiony kompleks budowlany ambasady ma jednak romantyczne japońskie dachy: symbol podwójnego życia narodu japońskiego.

Wszędzie widzimy wysokie rusztowania ze stali, drzewa i betonu. Całe niebo przykre jest stalowemi „sztangami", belkami i ludźmi, pracującymi bez wytchnienia.

Budują chińscy kulisi z Szantungu. Mieszkają na peryferji w prowizorycznych domkach i drewnianych barakach. Wynagrodzenie ich jest większe od najwyższych płac kwalifikowanych robotników w Chinach. Pracują jednak wściekle, bez wytchnienia, noc i dzień: im należałby się pierwszy pomnik w Hsinkingu.

Tempo — tempo, to hasło. Japońscy inżynierowie, technicy i majstrzy popędzają kulisów i ich małe chińskie koniki, okwiecone i ozdobione jakgdyby codziennie była koronacja cesarza. Wszystkie konie ozdobione są słońcem Nipponu i wielobarwną flagą Mandżurji.

Tu buduje Japonja.

A jednak nawet pod okiem japońskich dozorców i inżynierów utyka niekiedy praca w Hsinkingu. — W dzielnicy przemysłowej musiano naprzykład przekopać na nowo całą niemal kanalizację. Chińscy kulisi natrafili bowiem w czasie pracy na stary grób jakiegoś przodka i nie chcieli dalej kopać. Przeciw duchowi świętego nie pomógł ani kapitał ani groźne karabiny maszynowe i bagnety żołnierzy japońskich. Trzeba było poprowadzić całą kanalizację w innem miejscu.

KRÓL Z KWIATEM.

W Hsingkingu nie dowiesz się plotek z dworu cesarskiego. Od czasu koronacji w marcu ubiegłego roku, zrobiło się cicho wokół dworu. O cesarzu Puji się nie mówi, nikt się nim nie interesuje. Nawet gazety nie. Od czasu wizyty japońskiego księcia Cziczibu, przerywają monotonję dworu cesarskiego tylko od czasu do czasu krewni „cesarza", którzy przyjeżdżają z Chin. Wszystko inne jest tu ważniejsze, niż dwór cesarski. „Zamek królewski" w Hsingkingu sprawia wobec potężnych nowoczesnych gmachów wprost nędzne wrażenie. Zresztą przed przejęciem władzy przez Japończyków, był tu rosyjski urząd monopolu solnego, którego największy pokój służy dziś jako sala tronowa.

Cesarz Puji lubi kwiaty. Wybrał sobie orchideę zamiast słońca i smoka chińskiego na symbol swego cesarstwa. Na czerwonym fotelu klubowym, który zamieniono przez baldachim u góry na tron, wyhaftowana jest złota orchidea. Jedynym luksusem dworu, jest obok 24 samochodów cesarza, gwardja przyboczna, składająca się z kilkuset żołnierzy. Własnością prywatną cesarza jest tylko mauzoleum jego mandżurskiego przodka Taitau w Mukdenie.

Mukden leży o cztery godziny koleją od Hsingking. Tu stoi prawdziwy tron przodków cesarza Puji. Niestety, jakiś chiński generał kazał go przemalować na nowo złotą farbą.

Dlaczego nie zamieniono czerwonego fotelu na ten tron? Być może dlatego, że tron z ognistym smokiem przypomina Pekin. Ale i to nie interesuje tutaj nikogo. Naprężenie, uwaga i ciekawość koncentrują się na głównej japońskiej kwaterze wojskowej. Wszystko spoziera poza tem na wschodnią granicę, na Rosję.

Japonja strzeże granic Mandżurji bardziej może, niż swoich własnych. Zrozumiałe: niezmiernie kosztowne inwestycje japońskie w Mandżurji reprezentują niemal połowę japońskiego majątku narodowego.

Dwór cesarski spadł, wobec tych dynamicznych wypadków, do roli nic nie znaczącej. Cesarz jest formalnie najwyższym władcą wszystkich sił zbrojnych Mandżurji na lądzie, wodzie i w powietrzu — naprawdę jednak nie ma tu wogóle nic do gadania. Jego życie jest dramatem. Jeśli ten 29-letni człowiek przeżyje jeszcze dalszych 10 lat, będzie jego biografja najbardziej interesującym i najbardziej fantastycznym życiorysem, jakie zna XX stulecie.

Do czasu powstania republiki chińskiej (1912), rządzili jego przodkowie, jako dynastja Czing, przez 350 lat z tronu w Pekinie nad całem państwem chińskiem. Byli oni Mandżurami. Wyszedłszy na podbój z Mandżurji, zdobyli całe Chiny. Tylko temu zawdzięcza Puji, że Japończycy dali mu, jako synowi byłego cesarza chińskiego, tron mandżurski.

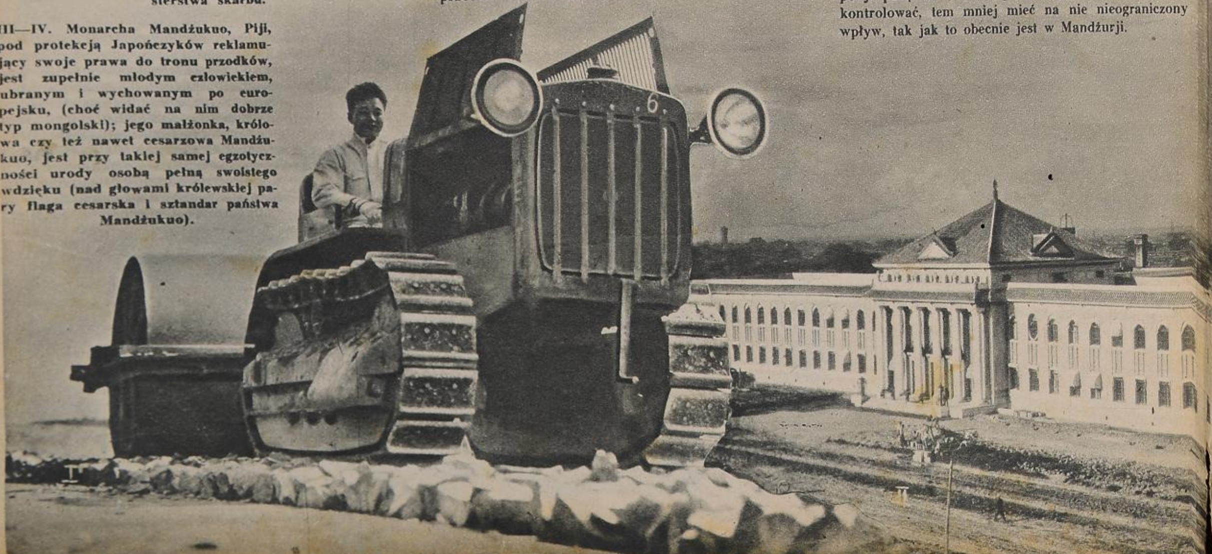
Japończycy, niewątpliwie najbardziej eleganccy zdobywcy świata, tworzą narazie sami korpus dyplomatyczny cesarstwa Mandżurji, uznanego dotychczas tylko przez nich. Ambasador japoński gen. Taka-Hiszikari zjawia się na oficjalnych przyjęciach we wspaniałym uniformie. Jego sztab jest tak wielki, że odnosi się wrażenie, jak gdyby w sali tronowej znajdowali się zastępcy conajmniej tuzina państw.

CHIŃSKIE TĘSKNOTY.

Cesarz nie jest w kraju popularny. Chłopi i kulisi (robotnicy) nie znają go wogóle. Inteligencja, która w ostatnich dziesięciu latach przecierpiała dużo z powodu stałej okupacji wojskowej, odnosi się do nowego cesarza z obojętnością. Ale w Chinach i w Mandżurji jest wola ludu pojęciem iluzorycznem.

Mimo, że linję polityki zagranicznej Mandżurji ustala Japonja, utworzyła się wokół cesarza dość duża grupa chińskich urzędników, którzy spoglądają stale z tęsknotą na stary Pekin. Również i cesarz sam widzi tam spełnienie swych najtajniejszych życzeń. Francuskiemu powieściopisarzowi Lachin'owi powiedział on: „narazie nie myślę o zdobywaniu tronu moich przodków. Ale jeśliby naród chiński, który żyje w anarchji, poprosił, abym przejął władzę, to nie wiem, czy wypadnie pozytywnie, nie wiem jednak również, czybym odmówił".

Japonja zaś myśli narazie tylko o Rosji. W interesie jej leży utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy, w najlepszym wypadku wcielenie do mandżurskiego nowego cesarstwa także Mongolji. Grożące niebezpieczeństwo wojny przesłania narazie rachuby urzędników cesarskich. Skoro tylko jednak zniknie kwestja wojny z Rosją, powstaną między młodym cesarzem a japońskim ambasadorem pewne różnice na temat — Pekinu. Połączenie Mandżurji z Chinami i restauracja dynastji Czing z cesarzem Puji na starym tronie, *nie jest* dla Japonji pożądane. Takie potężne państwo trudno jest kontrolować, tem mniej mieć na nie nieograniczony wpływ, tak jak to obecnie jest w Mandżurji.



Co myślą o tem *Chiny?* Ludność chińska nie lubi *ani* cesarza *Puji, ani Japończyków.* Ruch monarchistyczny w Pekinie podtrzymuje tylko mała grupa byłych urzędników dworskich. Poza tem twierdzi się w Chinach, że Puji *nie jest Chińczykiem.* Jeśliby więc miano powrócić do monarchji, znajdą sobie Chińczycy dość kandydatów u siebie.

MUZYKA POD CUDZĄ BATUTĄ.

A co myślą o tem w samej Mandżurji? Nic nie myślą — gdyż po pierwsze, prawie że niema *Mandżurów* w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Na 35 miljonów mieszkańców Mandżurji jest ze 32 miljonów Chińczyków — niedawnych przychodźców, około 2 miljonów Koreańczyków również imigrantów, paręset tysięcy Japończyków kolonistów (oprócz okupacyjnych żołnierzy) i może miljon Mandżurów. Ci mają tradycje dawnych swych rządów nad Chinami i trochę psychiki dawnych zdobywców, lecz to wszystko dość się zatarło. — Natomiast nie mają własnej woli tworzenia państwa — woli świadomej.

O tej świadomej woli państwotwórczej reszty mieszkańców Mandżurji niema co nawet mówić. To też przypatrują się oni budowie „własnego“ państwa, biorąc w niem bardzo skromny udział uczuciowy. Wszystko co dzieje się w Mandżurji, dzieje się z woli Japonji i z inicjatywy japońskiej za japońskie pieniądze, japońscy ludzmi — popierają to japońskie karabiny, armaty, samoloty. Dyplomaci japońscy czuwają nad polityką zagraniczną „niepodległego“ Mandżukuo, a ambasador japoński w Singking, gen. Hiszikara, który jest jednocześnie najwyższym dowódcą wojsk japońskich w Mandżurji, jest faktycznym władcą kraju.

Pod jego nadzorem buduje się mandżurska stolica, przecinają ją szerokie ulica, rosną gmachy ministerjów. Ministrowie, którzy urzędują lub urzędować będą w tych gmachach, są nie ministrami czyli sługami cesarza Pu—ji, lecz sługami Japonji. Taki przejściowy krok do roztoczenia panowania Japonji nad częścią kontynentu japońskiego — odskocznia do potężnego skoku dla dalszych zdobyczy: może na południe po Chiny — może na wschód po Mongolję — może na północ po wschodnie syberyjskie posiadłości Rosji, a może we wszystkich tych trzech kierunkach...

— — — — — — — — — — — — —

Wiedzą o tem doskonale wszyscy w Azji i w Europie — udają tylko, że nie wiedzą, Niemcy, którzy od paru lat występując jako wyraźni sojusznicy Japonji w jej przedsięwzięciach zdobywczych na azjatyckim Wschodzie.

Sojusznicy nie bezinteresowni — zarabiają grubo na dostawach broni amunicji, maszyn, wszystkiego, czego tylko Japonja sama wyprodukować jeszcze nie może, a czego może potrzebować w swoich wyprawach wojennych i w pokojowej organizacji nowego swego państwa kontynentalnego w Azji, którego pierwszym etapem jest Mandżurja.

LUDZIE ZAWSZE NA EKSPORT.

Zresztą Niemcy teraz to — bezrobotni Europy, którzy po całym świecie szukają pracy dla nadmiaru swoich robotników zarówno jak inżynierów, dla uczonych i dla generałów, dla kupców i żołnierzy. Przypominają się czasy po-średniowieczne. Owa epoka kiedy niemieccy, *landsknechci* byli do wynajęcia dla każdego, kto potrzebował ostrego miecza, pewnej ręki i sumienia niezbyt wrażliwego.

Teraz mniej więcej jest to samo: Boliwja w Ameryce Południowej potrzebuje armji — już się zjawia tam



. W stolicy nowej Mandżurji, pomimo modernistycznych zapędów architektonicznych i państwowo-organizacyjnych, ogół ludności chodzi jeszcze w starych strojach i zachowuje stare zwyczaje: widać to najlepiej na przedstawionym na naszej ilustracji tradycyjnym obchodzie święta nowego roku, „święconego“ w Mandżurji, jak w Chinach — tak jak nasz karnawał.

generał Kundt i niemieccy oficerowie dla organizacji armji boliwijskiej i powstaje natychmiast potężny plan osiedlenia conajmniej miljona Niemców w dorzeczach górnych dopływów Amazonki.

Potrzebuje teraz Mandżurja, której Japończycy we wszystkiem nastarczyć nie mogą, organizatorów armji, inżynierów, może nawet kilku generałów — Niemcy z całą gotowością „stoją do dyspozycji“ jak to się u nich mówi w kupieckim języku. Eksport ludzki niemiecki — zresztą trzeba bezstronnie przyznać, że wartościowy — jest zawsze równie łatwo zorganizować, jak eksport towarowy, bez względu na to, czy potrzebuje go, jak to było kilka lat temu, Rosja sowiecka, czy też jak obecnie — japoński jej przeciwnik w mandżurskiem przebraniu.

ZA TANIE PIENIĄDZE — MOŻE BYĆ POŻAR.

Narazie wyprawiło się już do Mandżurji sporo Niemców w charakterze ekspertów, fachowców, teoretycznych uczonych do badania różnych możliwości, nawet artystów malarzy na dwór cesarza Puji dla rysowania fizjognomji nowych ministrów i dygnitarzy.

I ci właśnie Niemcy, którzy już upatrzyli dla siebie Mandżurję jako tereń swego ludzkiego, no i trochę towarowego eksportu, sami jedni na całym świecie uważają i zapewniają wszystkich, że Japonja w Mandżurji zachowuje się całkiem niewinnie i bezinteresownie, że cesarz mandżurski i jego ministrowie mają pełną władzę, że lud mandżurski bardzo jest zadowolony z japońskiej okupacji i t. d. Zresztą nie jest to tyle ważne prostowanie tych twierdzeń, ile ciekawe i charakterystyczne.

Na wschodzie Azji, właśnie na mandżurskiem terytorjum, przygotowują się — jak to zresztą już parokrotnie wskazywano — wypadki, które wstrząsnąć mogą całym światem. Japonja jest tak zdecydowana na zdobycie sobie olbrzymiego kęsa Azji i panowanie przynajmniej nad północną częścią oceanu Spokojnego, że przygotowała się, jak to ostatnio kilkakrotnie oświadczyli jej mężowie stanu, na możliwy zatarg o swoje teraźniejsze i przyszłe zdobycze nietylko z Rosją sowiecką, ale także ze Stanami Zjednoczonemi, gdyby zapragnęły jej przeszkodzić.

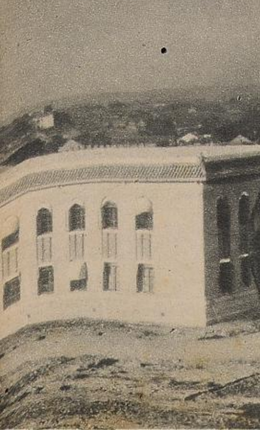
Wypowiedziała ona niedawno znany „waszyngtoński układ flotowy“, na mocy którego japońska flota musiałaby być słabsza od angielskiej i amerykańskiej w stosunku 3:5:5 — teraz chce mieć flotę równie silną jak angielska i amerykańska, a nawet silniejszą. Już ją zresztą ma: japońskie okręty wojenne, zbudowane niedawno, są silniejsze i szybsze od amerykańskich, ma ona wyćwiczony liczniejszy korpus marynarki, lotnictwa swego też nie uważa za słabsze od amerykańskiego i rosyjskiego.

To też gdy Stany Zjednoczone zapowiedziały wielkie manewry swej floty wojennej na oceanie Spokojnym w roku bieżącym na wiosnę — Japonja odpowiedziała natychmiast, że i manewry floty japońskiej odbędą się również w tym samym czasie...

Tak to „tani król“ mandżurski, w pałacu przerobionym ze starego budynku solnego monopolu rosyjskiego, kosztuje w gruncie rzeczy Japonję bardzo grube pieniądze, które się jej zresztą zwrócą przy eksploatacji bogatej Mandżurji. Pytanie tylko — czy nie będzie on kosztował jeszcze grubszych pieniędzy Europę i Amerykę, gdy japoński tygrys z taniej mandżurskiej odskoczni rzuci się do skoku po dalsze zdobycze...



III IV





Philips Oppenheim *powieść sensacyjna*

Jej tajemnica

(31-szy ciąg dalszy).

Po uroczystem i na serjo oświadczeniu Haslama o zdobyciu przez niego w Afryce tajemnicy „winy i niewinności" wszyscy obecni popatrzyli na niego z naprężeniem.

W głosie bowiem i zachowaniu się Haslama nastąpiła nagle jakaś zmiana i wszyscy byli pod wrażeniem jego słów.

Felicja chwyciła go za rękę, a drugą ręką wskazała do góry, na sufit, nad którym był pokój sypialny.

— Panu t o jest wiadome? — zapytała. — Pan wie, k t o strzelił?

— T a k! — odpowiedział. — J a w i e m!

ROZDZIAŁ XVII.

ZZA GRANIC TAJEMNICY.

Parkins przyniósł świeżego szampana, inni służący zaczęli roznosić przekąski. Felicja upuściła swoją torebkę i schyliła się po nią, Hartopp zapalił papierosa... Wszystko to były rzeczy bez znaczenia, a jednak przyczyniły się one do przerwania panującego stanu naprężenia, który wywołał Haslam. Nagle powrócili jakby znów do... codziennego życia. Towarzystwo zaczęło znów rozmawiać, jak przedtem. Nagle sir Ryszard pochylił się i schwycił za ramię gospodarza.

— Popatrz na Haslama! — szepnął.

Haslam siedział nieruchomo na swojem krześle. Zdawało się, że oczy jego rozszerzyły się, jednak były bez wyrazu. Felicja, która też to spostrzegła, skierowała doń kilka nic nieznaczących pytań. Nie dał odpowiedzi.

— Czy on jest chory? — zapytał cicho Andrzej.

Dr. Meadows, który siedział przy drugim końcu stołu z lady Zuzanną, wmieszał się do rozmowy.

— Nie troszcie się o niego! — powiedział. — Rozmawiajcie dalej. Coś podobnego już raz widziałem... Pewno przejdzie to za chwilę, być może jednak, że potrwa kilka dni. Pozostawcie go w spokoju i nie zwracajcie nań uwagi. Pozostawcie mu spokój, aby sam przyszedł do siebie... To jedyne, co mogę wam polecić i prosić was o to.

Powrócono do przerwanej rozmowy, rozmawiano głośno, mówiono, aby mówić.

Służący napełnił kielich Haslama razem z innymi.

I nagle Haslam, jakby otrząsnął się, podniósł do ust kieliszek i rozpoczął zupełnie naturalnie gawędzić z młodym adwokatem, sąsiadem, który siedział przy nim.

— Znakomicie strzelał pan na ostatnim rozkładzie, Grindells! — zauważył.

Młody człowiek odetchnął głęboko, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

— Ale pan w niczem mi nie ustępował, sir! — odpowiedział dość przytomnie. — Z kąta, gdzie pan stał, strzały nie były bardzo wygodne, bo przeszkadzały krzaki.

— To też parę razy spudłowałem fatalnie! — rzekł Haslam.

Haslam zwrócił się do Felicji:

— Niech mi pani powie! — prosił. — Czy nie mówiłem tu przed chwilą za dużo o Afryce zachodniej? Wydaje mi się, że posunąłem się za daleko... Wtedy zwykle zapominam o wszystkiem...

— Przeciwnie, opowiadał pan bardzo ciekawe rzeczy! — taktownie zapewniła go Felicja.

— Człowiek się czasami gubi... — przyznał. — Ale chciałbym pani jeszcze coś powiedzieć... Mój przyjaciel, ten czarnoksiężnik, i ja rozmawialiśmy ze sobą jeszcze nieraz w czasie ostatniego stadjum jego choroby. Kiedyś zapytałem go: *„Nie obawia się pan, że pewnego dnia wyjadę do moich białych braci i opowiem im o tych wszystkich tajemniczych rzeczach?"* — Wtedy czarownik uśmiechnął się: *„Daleko pan z tem nie zajdzie, Chief Haslam!"* — zapewnił mnie. — *„Zasłona spadnie na oczy pańskie"*.

W każdym razie człowiek ten mówił prawdę! — ciągnął dalej obojętnie Haslam. — Bo zawsze w środku urywam, gdy czuję się dysponowany do opowiadania. Ale coś jednak sobie przypominam! — kończył i spojrzał z uśmiechem poprzez stół na gospodarza. — Przypominam sobie, że to jest Cliquot z r. 1911! — rzekł, pokazując na butelkę. — Pamiętam, Andrzeju, byliśmy razem kiedy go zakupiłeś? Początkowo chciałeś kupić tylko 20 tuzinów, potem namawiał cię ów człowiek i zdobył zamówienie na 30 tuzinów. O ile wiem, zabrałeś mu wtedy wszystkie jego zapasy.

— Naprawdę tak było! — zawołał Andrzej. — Było wszystkiego 71 tuzinów i w całem mojem życiu nie zdarzyło mi się zakupić lepszego wina. Ale ty masz pamięć, Rodney!

— Było to przed dziesięciu laty! — ciągnął dalej Haslam. — Ty chciałeś wtedy zostać dyplomatą... W tym czasie ja rozpocząłem poznawać dopiero wielki czar Afryki i wkrótce przekonałem się, że tylko tam mogę być szczęśliwym. Tak, to były ładne czasy... Przypominam sobie, iż byłem wówczas przekonany, iż Andrzej, który zresztą prowadził dość wstrzemięźliwe życie, do końca życia pozostanie kawalerem...

— Takby też było, gdybym nie znalazł Felicji! — oświadczył Glenlitten.

Felicja roześmiała się szczęśliwa, kiedy wszyscy podnieśli kielichy i pili na jej pomyślność.

— Sądzę — powiedziała — że po tej naprawdę miłej rozmowie dobrze zrobię, jeśli zastosuję się do waszych angielskich zwyczajów. Wycofuję się z waszego towarzystwa, aby w samotności rozważać, jak uprzejmych być może sześciu gentlemanów angielskich wobec jednej biednej małej kobiety..

Haslam powstał, podszedł w swój zwykły miarowy sposób do drzwi i trzymając je otwarte, patrzał z uśmiechem na Felicję:

— Dowidzenia, o ile pani nie będzie chciała opuścić nas na cały wieczór. Byłoby to dla nas wielką przykrością.

Felicja zaprzeczyła pokręceniem główki.

— Jesteście wszyscy tak uprzejmi, że nie mogłabym obejść się bez was.

KTOŚ, KTO SIĘ ŚPIESZY.

Kiedy za chwilę po jej wyjściu tylko portwein pozostał na stole i służba opuściła pokój, rozmowa potoczyła się znów o znalezionym na polowaniu rewolwerze.

Tylko dwie osoby nie brały w tej rozmowie udziału — sir Ryszard i Haslam. Pierwszy przeszedł ze swoim kielichem na drugą stronę stołu i usiadł na wolnem krześle obok Haslama.

— Jeżeli panu nie przeszkadzam, usiądę obok pana.

— O proszę! Skądże! Dlaczego miałby mi pan przeszkadzać? — bąknął Haslam.

— A propos znalezionego rewolweru! — mówił sir Ryszard. — Jest to bardzo ciekawe, jak duch brytyjski, albo, lepiej mówiąc, duch brytyjskiego poczucia sprawiedliwości łatwo wierzy wszelkim dowodom. Każdy człowiek mojego zawodu wie, że dowody wymagają bardzo starannego sprawdzenia i... związku, gdyż bez tego związku wzajemnego jedynie utrudniają poznanie prawdy...

Haslam przytakiwał..

— Dowody wprowadzają często ludzi w błąd! — odpowiedział. — Mojem zdaniem, adwokat nie powinien nigdy marnować czasu na to, by je zbierać. Poznać prawdę można łatwiej przez studja psychologiczne — i adwokat, który jest dobrym psychologiem, zawsze łatwo odnajdzie drogę wsteczną, prowadzącą do źródła, czy przyczyny badanej rzeczy.

— Pan byłby znakomitym adwokatem i detektywem! — powiedział, uśmiechając się, sir Ryszard.

— Mogę sie do tego przyznać, jeżeli nie brzmi to zbyt zarozumiale... W moim okręgu w Afryce cieszę się opinją bardzo sprawiedliwego sędziego. Nikt nigdy nie pomyślał, żeby zaskarżyć moje wyroki. Czasami myślę sobie, że gdybym kiedyś popełni błąd i uznał jakiegoś niewinnego za winowajcę, ten byłby sam przekonany, iż znajduje się w błędzie i spokojnie przyjął mój wyrok. Duch tych dzikusów jest prymitywny, dużą rolę gra tam uczucie i wiara...

— Kiedy pan idzie na emeryturę?

— Nie prędzej, aż będę musiał. A pozatem... wątpię, czy powrócę do domu...

— Zatwardziały stary kawaler?...

Sir Ryszard nie wiedział nigdy potem, czy to sobie wmówił, czy też naprawdę zaobserwował, że oczy Haslama na chwilę spoczęły na próżnem krześle na początku stołu, gdzie jeszcze niedawno siedziała gospodyni.

— Ja się nigdy nie ożenię! — rzekł skromnie Haslam. — Tu, w Europie, niema formy życia, którąby mnie zadowoliła, a życie jakie prowadzę w Afryce, nie odpowiadałoby żadnej kobiecie... Zgubiłem *właściwy kontakt*, sir Ryszardzie. Moja godzina w Anglji jest bardzo przyjemną rzeczą dla mnie, ale wydaje mi się, jak... kamea, jak kwiat w krysztale, który musi zwiędnąć... Czuję pewnego rodzaju ulgę, gdy wsiadam w Southampton na okręt, wiozący mnie w drogę powrotną. Tylko początkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo przygotowania do odjazdu są bardzo nudne i absorbują człowieka. Ale kiedy ujrzę tę w i e l k ą r ó w n i n ę pustynną i równie pustynne góry, owe karłowate, zaniedbane drzewa, słowem, gdy zbliżam się do Afryki — jest to mój najszczęśliwszy dzień.

— Czy istnieją tam jakiekolwiek sporty?

— Mnóstwo sportów... Przypuszczam, że dziś wieczorem mówiłem cokolwiek niezrozumiale... To mi się zdarza... Jest to skutek długiego przebywania w samotności, w środowisku zabobonnej, ale pod pewnym względem zdrowo wychowanej ludności... Radują mnie te same zabawy, co ludzi tu w kraju. Jestem namiętnym myśliwym. O włos byłby się na mnie skarżył gubernator, bo zamiast sześciu tygodni, bawiłem raz na urlopie dwa miesiące. Nikt nie wiedział, że polowałem na... pewnego człowieka tak samo, jak na dobrą zwierzynę. Pozatem jest tam kilku bardzo dzielnych chłopców z kraju. Schodzimy się od czasu do czasu. Moje dalekie podróże w głąb kraju zdarzają się teraz dość rzadko. Co pół roku zwołuję w okolicy około 200 mil wielkie zebranie sądowe, na które każę ludziom przychodzić do mnie... Nie mam żadnego szeryfa, żadnego woźnicy z peruką, żadnego powozu ze szklanemi szybami, ani nic podobnego. Ale mam za to inne rzeczy, co odpowiada duchowi afrykańskiemu — rozum i uczucie. Oni nie nauczyli się jeszcze kierować tylko rozsądkiem, a innym sprawom nie nadawać żadnego znaczenia... Oni muszą być przez kogoś przekonywani, jak małe dzieci...

Do pokoju wszedł Parkins i skierował się do majora Hartoppa.

W przypadkowej ogólnej pauzie w rozmowie można było słyszeć każde słowo:

— Bardzo proszę wybaczyć mi, sir! Pułkownik Woodward z więzienia w Winchester telefonował i prosi pana pilnie do aparatu.

Szef policji przeprosił zebranych i udał się do telefonu.

Andrzej natychmiast powstał.

— Nie śmiem wam pronować, ale jestem pewny, że Felicja ucieszy się niezmiernie, gdy nas znów zobaczy! — oświadczył.

Skierował się ku drzwiom. Po drodze spotkali się z powracającym od telefonu Hartoppem.

— Pewno jakaś drobna a miła wiadomość od naszego przyjaciela Draytona, co? — śmiał się Andrzej.

Hartopp skinął głową.

— Drayton ciężko zachorował! — odpowiedział. — Wieść o znalezieniu rewolweru rozpowszechniła się już dziś popołudniu w Winchesterze i jakiś osieł musiał mu ją zakomunikować. Gubernator żąda mojej zgody, żeby przenieść go do szpitala śledczego.

— Przypuszczam, że pan zgodził się na to? — zapytał Andrzej.

Hartopp potwierdził.

— W takim wypadku nie da się nic zrobić. Przepisy wyraźnie mówią o tem. Chory musi iść do szpitala... Ale co za bydlę tak prędko dowiedziało się o tem i doniosło mu... To wydaje mi się trochę podejrzane... *(Ciąg dalszy nastąpi).*



Jak sobie wyobraża horoskop 1935 nasz astrolog-rysownik, artysta-malarz Charlie (Karol Foerster)